

Opera blisko widza [RECENZJA]

Premierą dwóch jednoaktowych oper Teatr Wielki w Łodzi wznowił działalność po koronawirusowym lockdownie. Oba dzieła sporo łączy: czas powstania (lata 50. ubiegłego wieku), kameralna obsada, a przede wszystkim treść, skupiająca się na bolesnych przeżyciach bohaterów. Jednoaktówka „Trouble in Tahiti” miała tego wieczoru polską prapremierę. To jedno z dwóch dzieł scenicznych Leonarda Bernsteina, do których napisał on zarówno muzykę, jak i tekst. Choć nie zyskało takiej sławy, jak „West Side Story” czy „On the Town”, znać w nim nerw broadwayowskiego kompozytora. Bernstein czerpie z jazzu i jego różnych odmian, w tym scatu, z muzyki popularnej i ze stylu operowego. Szczególne wrażenie wywiera rozdźwięk między otwierającą utwór pozornie beztrudną piosenką rozpisaną na trio wokalne, opiewającą zalety życia w uroczym domku na przedmieściach, a dialogami głównych bohaterów, które są rodzajem współczesnego recytatywu, dramatycznego nie tylko w treści, ale i formie muzycznej. Główne osoby dramatu to dwoje małżonków: Sam (w tej roli Łukasz Motkowicz) i Dinah (Bernadetta Grabias). Ich pierwowzorami byli ponoć rodzice kompozytora, a nad partyturą pracował on podczas swojego miesiąca miodowego.

Sam i Dinah to zmęczone sobą i codzienną rutyną małżeństwo z dziesięcioletnim stażem. Przedstawienie ukazuje ich samotność, ukrytą za konwencjonalnymi uprzejmościami i banalnymi kłótniami o nic. Kontrast między atrybutami sukcesu amerykańskiego życia a nieumiejętnością radzenia sobie z sobą samym jaskrawszy być już nie może.

Soliści świetnie odnaleźli się w rolach, co było tym trudniejsze, że widzom musieli ukazać się z bliska – nie tylko emocjonalnie, ale także dosłownie, fizycznie; tym razem było to konieczne nie za sprawą kamery, ale usytuowania miejsc siedzących w kieszeniach obrotowej sceny. Walory wokalne utworu obniżał natomiast brak właściwego balansu między głośnością partii solowych i orkiestry (a właściwie między poziomami ich nagłośnienia) – orkiestra niekiedy dominowała nad śpiewakami. Przewidując wypadek także wspomniane już wokalne trio (Aleksandra Borkiewicz, Dawid Kwieciński, Arkadiusz Anyszka), któremu zabrakło swobody i musicalowego feelingu. Być może lekarstwem na to będzie czas i po paru przedstawieniach cała warstwa muzyczna „Trouble in Tahiti” zabrzmi równie interesująco. Ostatnie szlify przydałyby się też warstwie choreograficznej. Niektóre jej elementy, zwłaszcza układ „cheerleaderski”, wydają się w tej skondensowanej jednoaktówce po prostu zbędne.

Dramatyzm ukryty w niedopowiedzeniach i muzycznych kontrastach w „Trouble in Tahiti”, w drugim z utworów jest oczywisty i jednoznaczny. „Głos ludzki” Francisa Poulenca to monodram – forma dość rzadko spotykana w operze. Całą uwagę widzów skupia na sobie Ona (imienia bohaterki nie poznajemy, co symbolizuje uniwersalność przeżyć) – w tej roli fenomenalna Joanna Woś. Sopranistka głosem i grą aktorską przedstawia dramatyczne zmiany nastrojów swojej bohaterki, nie potrafiącej przyjąć do wiadomości rozstania z ukochanym, który – cóż za banał – znalazł sobie inną. Jej jedynym istotnym rekwizytem jest słuchawka telefonu, niczym sznur łącząca ją z dawnym życiem.

Siłą tej opery jest ściśle zespolenie emocji bohaterki z partią wokalną, a tejże – z partią orkiestry. Współzależność ta została znakomicie wyzyskana przez artystów. Śpiewaczka i orkiestra Teatru Wielkiego pod kierunkiem Adama Banaszaka zdawali się tworzyć niemal jeden organizm. Niewątpliwie znaczenie ma tu świetna znajomość roli przez Joannę Woś – w 2016 r. artystka wystąpiła w tej operze w reżyserii Mai Kleczewskiej w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej.

Koncentrację wyrazu artystycznego podkreśla scenografia: skupia uwagę widza na ustawionym na środku sceny sześcianie, który pełni funkcję szpitalnego pokoju. Dzięki usytuowaniu miejsc dla

widzów i obrotowej scenie do tego kubiku można zajrzeć niemal z każdej strony, co potęguje wrażenie emocjonalnej bezbronności bohaterki – tutaj nic nie da się ukryć.

Premiera przedstawienia szykowana była na listopad. Niestety, COVID-19 pokrzyżował teatrowi szyki, a próba transmisji telewizyjnej wypadła nad wyraz niefortunnie (nie z winy artystów). Dopiero teraz „Głos ludzki” Poulenca mógł wybrzmieć w pełni.

Obie jednoaktówki wychodzą naprzeciw oczekiwaniom tej grupy widzów, którzy na równi z doznaniem czysto muzycznymi stawiają wrażenia aktorskie, a opera jest dla nich przede wszystkim teatrem. Wskazuje to kierunek rozwoju gatunku, jakim jest opera. Musi się zmieniać, by nadal stanowić istotny element współczesnego życia muzycznego. W dłuższej perspektywie czasowej wymaga to zmian w myśleniu o tej sztuce, a nawet korekty sposobu kształcenia wokalistów.

Gdyby nie fakt, że oba pokazane w Teatrze Wielkim utwory powstały w połowie ubiegłego wieku, można by sądzić, że inspiracją do ich stworzenia były sytuacje i przeżycia z okresu pandemii: samotność, konieczność oparcia się na komunikacji zapośredniczonej, rozkład słabych więzi rodzinnych. Być może wkrótce powstaną dzieła zainspirowane czasami, w których teraz żyjemy.

Magdalena Sasin

„Trouble in Tahiti” L. Bernsteina, „Głos ludzki” F. Poulenca. Kierownictwo muzyczne: Adam Banaszak, reżyseria: Michał Znaniecki. Premiera 5 i 6 marca 2021 w Teatrze Wielkim w Łodzi.